

[illegible]

>>><<<

mieć praw, gdziekolwiek się znajdziecie. — James nie podnosił głosu, ale ton miał kpiący, wpadający w pogardliwy. Popatrzył w oczy panu Terbreek. — Pójdiesz pan do więzienia — oznajmił.

Pani Terbreek udała omdlenie.

— Och! Doprawdy...?! — Roześmiał się James. — Lokaju! Kubeł wody!

— Póki co...! — zaczęła gniewnie, jak się domyślił, siostra majora, Luiza Broum. — Tutaj JA mieszkam! — James ukłonem przyznał jej rację, oczekując dalszego ciągu. Kobieta jednak zamilkła.

— Teraz, to już na pewno będzie syn! — zakomunikowało zeżłone dziewczę.

— Szczerze sobie tego życzę. Dwadzieścia jeden lat z wami na karku jakoś zniosę, ale nie całe życie...

— Moja żona...! — zaczął Terbreek.

— Co to ma znaczyć?! — To młódka najwyraźniej nosiła spodnie w tym związku. Zerwała się oburzona z kanapy. — Liczy pan, że poronię?! Jak dziadek mógł...?! — wybuchła. — Jakiemuś obcemu?! Jakiemuś sierocie?! — James nie przerywał. — Jakiemuś...! — Przez chwilę chciała się powstrzymać, lecz nie zdołała. — Bękartowi!!!

— Nie chciałem tego spadku. — James wzruszył ramionami. — Ale kiedy to zakomunikowałem Lordowi, poprosił, żebym się wam przyjrzał. I nadal jest to dla mnie niewygodne. Tyle że właśnie was widzę. I chyba tak, jak was widział major Five... Pan, gdzie pracuje? — zadał głupie pytanie.

— Mąż chwilowo nie pracuje nigdzie — odpowiedziała za niego dziewczyna. — A poza tym mamy prawo korzystać... — zacięła się. — Babcia nas tutaj zaprosiła i nie może pan...! Ma prawo nas do siebie zapraszać!

— Jak dla mnie — odparł James obojętnie — to może was także utrzymywać. Jednak niszczenie majątku, nawet własnych dzieci, uważam za przestępstwo.

Dziewczyna poczerwieniała. Pozostałe kobiety, poruszyły się zaniepokojone. Tak, jakby nie były wtajemniczone w działania młodych.

— Przejdziemy się! — rzucił James surowo w kierunku mężczyzny, unosząc palec ku kobiecie. — A ty się, pani, przymkniesz albo moja cierpliwość się skończy i twojego fireyka zabiorą stąd konstable...! — Ruszył do wyjścia, nawet się nie oglądając, z mocnym postanowieniem wywleczenia zaproszonego za kudły, jeżeli nie posłucha. Ale nie musiał na niego czekać. Mężczyzna nawet wyprzedził go w drzwiach i na zewnątrz, z miejsca zaatakował.

— Jak pan tak może, przy teściowej?! Przy żonie...?! Ona jest w ciąży! Jak pan śmie...?!

— I dlatego, mała szumowino, robisz karciane długie, zamiast o nią dbać...?! — odparował James.

Terbreek nie odpowiedział. Uniósł dumnie głowę i zasznurował usta, próbując dać Jamesowi do zrozumienia, że nie zamierza się do tego oskarżenia nijak ustosunkowywać.

— Potrzebuję nazwisko człowieka, który za darowanie długów, namówił pana do zorganizowania tej, tfu,

aukcji? — oświadczył James dla zbadania ochoty Terbreeka do współpracy. Oskarżony milczał. — To jedyny sposób, żeby z tych długów pan wyszedł... Aukcja z całą pewnością się nie odbędzie, a pana zleceniodawca, bardzo się tym faktem zdenerwuje...

— Nie ma pan władzy!

— Mam. — James wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki, odpowiedni dokument i pomachał nim lekceważąco przed oczami mężczyzny. — Mało tego, wiem dobrze, że o tym doskonale wiesz i domyślam się, kto pańskie długi wykupił... A że działałam na korzyść pańskiej, hmm, pustogłowej żonki i dzieci... Ilekolwiek byś ich nie namajstrował... Nie masz pan wyboru, drogi chłopcze. — Ton głosu Jamesa stwardniał. — Albo ktoś się na tobie zemści tak, że długo nie będziesz mógł kontynuować produkcji córeczek!

— On powiedział, że aukcja musi się odbyć — antagonistą pękał. — Że jeśli spróbujemy ją odwołać, nikt nigdy nie potraktuje poważnie naszej hodowli...

— Naszej?! — James doskonale zagrał zdumienie. — Drogi chłopcze! Nigdy: „Naszej!” — tym razem nacisnął. Nieudawanie. Mężczyzna go mierzył, irytował i gniewał. — Wybij to sobie raz na zawsze, z tej swojej durnej główki! — Okazał to na zewnątrz. — I nie twoja to sprawa, jak sobie poradzimy w tej sytuacji! Jest jedynie niekomfortowa i dużo bardziej dla ciebie i żonki... — Złośliwie się zaśmiał.

— On przyjedzie! — odpowiedziało mu zatrwożone.

— Zgadza się, a nawet musi osobiście — przyznał James, uśmiechając się szeroko i podając Terbreekowi przygotowany dokument i długopis. — A my cierpliwie poczekamy i odzyskamy twój weksel...

Nie było to zamierzeniem Jamesa, ale papier został podpisany bez czytania.

>>><<<

Wbrew temu, co pasożytowi powiedział, mieli jednak powody do zmartwienia, a sam James nie mógł być pewien poparcia swoich zamiarów przez kanclerza. Nie mniej, dostosowywanie się do żądań szantażysty, o znanym mu nazwisku Galen, nie wchodziło w grę. Nawet albo tym bardziej że ten był markizem.

Do Londynu został wysłany najmłodszy syn Whatesa- Tom. Zarządca poinformował Jamesa, że kilkanaście koni mogą spieniężyć bez szkody dla hodowli, tak wiadomość-propozycja dotyczyła, między innymi, zakupienia patentu oficerskiego dla Terbreeka. I wysłania go w miejsce, gdzie nie narobi szkód. Ani stadninie, ani tym bardziej Koronie.

>>><<<

Nie miał wielkiej ochoty na nocleg w dworcu, ale matka Matyldy, wdowa, Margareth Princer sprawiała wrażenie, jakby chciała z nim o czymś porozmawiać. A że widywał już wiele kobiecych spojrzeń oświadczaających, że czegoś od niego chcą i nie za darmo, postanowił przyjąć niezbyt zachęcające zaproszenie pani Broum. Także i na kolację.

Było milcząco, wrogo i zimno, pomimo starań Margareth, jedynej w gronie, usposobionej przyjacielsko. Kobieta, mimo swoich czterdziestu dwóch lat, była atrakcyjna i miękka, a on ani razu o niej nie pomyślał w próbie porównywania bądź marzeń, o własnej, nieznannej matce.

Po kolacji nie było rozmów czy wspólnego wypicia lampki wina, wszyscy rozeszli się do swoich pokoi. James, z pozoru nonszalancko, ale bardzo uważnie obserwował, skąd wychodzą pokojówki, a z których drzwi, nie wychodzą wcale. Tylko jedna z kobiet nie posiadała osobistej służącej.

Już dobrze po północy, gdy w domu nastała cisza, poszedł sprawdzić, czy kobieta jeszcze nie śpi. Światła w szparach nie dostrzegł, odwrócił się więc i w tym samym momencie usłyszał, jak drzwi się otwierają.

Udał, że przechodzi właśnie do siebie, ale ona, idąc do łazienki, przeczuła, że spędził przed jej pokojem chwilę znacznie dłuższą, od tej potrzebnej na przejście. A on, domyślając się tego, z obawy przed zamknięciem przez kobietę drzwi na klucz, wślizgnął się do środka.

Nie czekał długo, chociaż czas dłużył mu się niemiłosiernie. Czując się niepewnie i nie do końca wiedząc, z jakimi właściwie przyszedł zamiarami. Będąc podniecony, a jednocześnie wręcz przerażony na myśl, o podniesionym przez nią, ewentualnym alarmie. Nie ukrywał się, zapalił nawet światło. Kiedy wróciła, stał na środku pokoju.

Gdy go ujrzała, zawahała się tylko na moment. Weszła, nie domykając drzwi. Milczała przez chwilę ani trochę nieprzerażona sytuacją, interpretując błędnie powód jego wizyty.

— Wiem, że to mnie uważa pan za winną całej tej sytuacji — odezwała się zbolalym, zmęczonym głosem. — I zapewne, w dużej mierze, tak właśnie jest.

Nie przerywając, powoli podszedł do drzwi i przekręcił klucz w zamku. Zrobił to automatycznie i bez zastanowienia. Nauczony doświadczeniem, że kobiety rzadko zwracają uwagę na tych siedzących w kącie (chyba że nie mają kogo obarczyć swoimi problemami), wołał przedstawiać siebie w świetle zdobywcy.

Ona nie od razu pojęła znaczenia jego postępowania.

— Powinnam była córkę odwieść od tego małżeństwa, ale kiedy wuj zdradził mamie, swój zamiar odnośnie do testamentu... Musi pan wiedzieć, że wuj... Jak tylko pana poznał...

— Nie miałem o niczym pojęcia.

— ... I ona się o tym dowiedziała... Bałam się, że jeśli nie wydamy zgody na ślub... Zagroziła, że ucieknie i więcej jej nie zobaczę! A potem jednak i tak uciekła! Moja matka im sprzyjała, a ja sama... Na początku nie był takim próżniakiem. Rokował.

James od krótkiej chwili stał z tyłu i właśnie zaczął głaskać kobietę po ramionach. Delikatnie. Nie myśląc nawet, o zsuwaniu z niej, narzuconego na koszulę szlafroka. Miała nie więcej niż pięć i pół stopy wzrostu i żeby poczuć zapach jej włosów, pochylił się znacznie, w lustrze wychytując jej zdumione spojrzenie.

Gdy ich oczy spotkały się, na obliczu kobiety odmalowało się niedowierzanie. Zadrżała jednak bardziej w powstrzymywaniu wybuchu śmiechu niż gniewu.

— Mogę wiedzieć, co pan wyprawia? — Jeżeli spodziewał się jakiegoś protestu, to raczej gwałtownego, a nie świadczącego o tym, że kobieta się z niego naśmiewa. — W taki sposób pragnie pan osiągnąć swoje zamiary...?

Popatrzył na nią zaskoczony. Zamilkła. Nie podniosła alarmu, nie spanikowała, a on odszedł od niej, już

niedoc spięty i rozejrzał się po pokoju. Wskazując stojącą na stoliku karafkę, siłąc się na beztróskę, zapytał:

— Napijemy się? — zabrzmiał naturalnie, więc jedyne co jej przyszło do głowy, to nią zgodnie skinąć. Szybko podał kobiecie szklaneczkę z sherry. — Nie przyszedłem do pani, Maggie, załatwiać czegośkolwiek! — postawił wykrzyknik przy ostatnim słowie. — Ta sama sprawa odbędzie się jutro i wszystko jest ustawione po mojej myśli. Mam przynajmniej taką nadzieję... Nikomu nie stanie się krzywda. Chyba... — Zaśmiał się psotnie. — Ja jestem tutaj wyłącznie dla pani urody — oświadczył. — Może pani wykorzystać moją gotowość i hołd dla niej albo wyrzucić za drzwi...?

— Pan naprawdę zwariował! — Roześmiała się, nie mogąc wyjść ze zdumienia, a jednocześnie podziwu, dla jego bezczelności. — Tak jakby pan zgadł, panie Tager. Może i będzie to pana majątek, ale dopóki ja zajmuję ten pokój... To będzie on należał wyłącznie do mnie! — podniosła głos.

James uznał, że zaczyna się robić niebezpiecznie. Nakręcona kobieta mogła im obojgu narobić kłopotów. Tyle że w tej sytuacji, jedynie on ponosić będzie za to winę. Podeszedł do niej, z zamiarem ułagodzenia.

— Chciałem jedynie powiedzieć pani, Maggie... — Panował nad sobą i nie okazywał, targającego nim zmieszania. — Że...

— Och, panie Tager! To naprawdę ogromna łaska z pańskiej strony i czuję się niezmiernie zaszczycona pańskim zainteresowaniem! — przerwała mu. Kpiąco i wyniośle. — Ale teraz poproszę, żeby pan sobie już poszedł! — Wskazała mu drzwi, by nagle zmienić zdanie i samej do nich podejść. — Zajrzę do córki. Gdy wrócę, ma pana tu nie być!

Stał jak wryty. Gdy wychodziła, czuł się jak uczeń, skarcony za złe odrobienie pracy domowej. Jednocześnie zdruzgotany i rozbawiony własną głupotą. Niezdolny przez chwilę do reakcji, nie zastosował się do jej życzenia i to był błąd. Kobieta wróciła bowiem, lecz nie sama, prowadziła ze sobą córkę. James stęzał, a próbując znaleźć wyjście z koszarnej pułapki, dał susa pod łóżko.

— Nie rozumiem, dlaczego mąż nie może z żoną w takim stanie...? — narzekała z marszu młodsza, siadając na łóżku. Na szczęście mebel miał wyższe nóżki i James nie musiał obawiać się przygniecenia. — Nudzę się sama w łóżu, a przecież nie jestem chora. Jak sądzisz, matko — zmieniła temat — co knuje ten bękart...?

— Nie mam pojęcia. Ale może niczego nie knuje...? Rozmawiałaś z Magnusem?

James zastanawiał się, czy Margaret Princer zdaje sobie sprawę z tego, że on nie wykorzystał okazji na wycofanie się z jej pokoju.

— On niczego nie wie, ale jest przestraszony... Ten bękart... Chyba nie sądzisz, że on o nas zadba...? Nie nawidzę go!

— A co wam właściwie zarzuca?

— Eeee... Nic... My uważamy, że koni jest za dużo, a on bredzi, że to nieprawda i chcemy zniszczyć hodowlę... Jakby się na czymś znał...! I słyszałaś?! Zabronił nam jutro wychodzić z domu! — wybuchła. — A tyłu gości ma przybyć...!

— Chodźmy spać... — zaproponowała starsza, próbując zatrzymać potok słów córki i upewniając Jamesa, że jego obecność bierze przynajmniej pod uwagę.

Ale nie od razu młodsza posłuchała. A kiedy matka zaproponowała jej, by spała razem z nią, ta ku przerażeniu Jamesa chętnie na to przystała. Na dodatek nie usnęły od razu, a rozmawiały przyciszonymi głosami, to jego w końcu usypiając.

Obudziło go chrapanie ciężarnej. Nie zwlekając, wyczołgał się i raczkując, dotarł do drzwi. Margaret uniosła głowę, kiedy wychodził na czworaka. I z całą pewnością co do jednego się nie pomylił- kobieta nie była starym zasuszonym babskiem. Chichotu, a później i śmiechu, ani trochę nie ukrywała.

>>><<<<

— Witam państwa! — James, niczym wytrawny mówca z Hyde Parku, uciszył zgromadzonych szerokim gestem ręki. — Na początek chciałbym podziękować państwu za tak liczne przybycie, nawet pomimo tego, że informacja o mającej się dziś odbyć aukcji, jest wyłącznie zdeformowaną plotką. — Wśród przybyłych rozległ się jednostajny pomruk, w niektórych przypadkach wyrażający zaskoczenie, innych rozczarowanie, w jednym zaś nieskrywaną wściekłość. — Pan Terbreek, zamierzający zasilić niebawem szeregi korpusu oficerskiego, poinformował kilkoro znajomych o pożegnalnej uczcie na terenie stadniny, a plotka, która, jak nam wiadomo, potrafi żyć własną, ewoluującą treścią, wydarzenie w hodowli przekształciła w takie, które miejscu wydarzenia najbardziej odpowiada. W związku z tym wynikło, co wynikło i jesteśmy winni państwu przeprosiny, nie mniej... — James uniósł palec. — Skoro już oderwaliśmy państwa od ich własnych spraw, jako reprezentujący opiekuna majątku, lorda Brixtona, czuję się w obowiązku przynajmniej w części to państwu wynagrodzić. Dlatego, jakkolwiek obowiązują stadninę kontrakty i dostawa wierzchowców dla kawalerii nie może być anulowana, jesteśmy w stanie wygospodarować kilkanaście wierzchowców, które przedstawimy za chwilę w ramach dobrosąsiedzkiej prezentacji... — I jeszcze: bla, bla, bla, podczas wygłaszania czego, spostrzegł, że baronet Barton pośpiesznie wycofuje się do powozu, a po kilku minutach znika w tumanach kurzu drogi.

Wiedział, dokąd pojechał, a przynajmniej tak sądził i miał nadzieję, że się nie myli, lecz nie mógł pognać za nim natychmiast, gdyż czekała go przynajmniej jedna, ważna rozmowa. Jednocześnie jednak, przewidując, że baronet zjawi się na aukcji, przygotował się na okoliczność jego przedwczesnego wjazdu. I natychmiast swój pomysł zaczął wcielać w życie.

>>><<<<

Wysłannik zrozumiał gest i zniknął, a James podszedł w pierwszej kolejności, i przywitał się, do hrabin Nathley i Pitter. Dostrzegł przy tym odruch natychmiastowej chęci zmierzenia się z nim u jednego z przybyłych- oczekiwaną, u markiza Galena.

Hrabina Pitter była osobką bystrą.

— Musisz mieć potężnych przyjaciół, James — zauważyła, stosując się do jego poobiedniej prośby, by mówiła mu po imieniu. — Nie boisz się robić sobie ustosunkowanych wrogów — stwierdziła raczej, aniżeli zapytała. — A tak, osobiście... — Westchnęła. — To trochę szkoda... Liczyłam na jakąś ładną klaczkę...?

James został o tym powiadomiony przez swoje hrabiny, kiedy poprosił, by zechciały uczestniczyć w auk-

cji.

— Mam do zebrania fundusze na patent dla pewnego pasożyta. — Wskazał drugą stajnię z rzędu. — Trzy pierwsze boksy, stajenni są poinformowani. Wybierze pani sobie... — Skłonił głowę z uśmiechem, na co otrzymał odzew pod postacią zupełnie nieestosownego, dziewczęcego piśnięcia.

— Nie będziesz nam towarzyszył?

— Negocjacje z wrogiem...

>>><<<<

Ze względu na wyjazd baroneta, James, pomimo ochoty na dłuższą zabawę słowną z markizem, zmusił się do załatwienia sprawy najkrócej, jak to możliwe. Podchodząc do koniuszego szlachcica, będącego głównym pośrednikiem w niecnym planach swojego pracodawcy, odezwał się cicho, lecz dobitnie:

— Won, ścierwo, z mych oczu! — A zaraz potem, gdy tylko ów odszedł zaskoczony, nieco tylko łagodniej, do markiza: — Mamy do pogadania, panie markizie...!

— Co to ma znaczyć?! — Markiz patrzył na odchodzącego koniuszego z wyraźnym pomieszanym, ale i gniewem na Jamesa. — Jak śmiesz...?! — zwyczajowa śpiewka zapędzonych do narożnika rozmówców, wzbudzała w Jamesie od dawna wyłącznie politowanie. I tylko to zobaczył teraz na jego obliczu, purpurowiejący markiz.

— Śmiem twierdzić, że jesteś pan lichwiarz, szantażysta i kanalia! — oznajmił mu pogardliwie. — Ale, na razie, zmuszony jestem z panem rozmawiać...!

Oburzenie szlachcica zatkało. Patrzył na tego śniadego, młodego i najwyraźniej pewnego swych racji mężczyznę w osłupieniu i James to wykorzystał.

— Za weksel tej małej gnidy, będziesz pan mógł wybrać sobie i za nie zapłacić trzy kłacze rozplodowe, których panu najwyraźniej brakuje...

— Zapłacić...? — zdołał wyjąkać markiz w potęgującym się gniewie.

— Lord kanclerz wydał własne pieniądze na zakup patentu oficerskiego dla Terbreeka i wypadałoby mu te pieniądze zwrócić...

— Niedoczekanie, żebym ja...!

— Lord wie o pańskich, niegodnych szlachty praktykach, ale gotów jest nie wspominać o tym Królowej, czy na salonach — kłamał James bez mrugnięcia powieką — o ile nie będzie miał ku temu podstaw, czyli, gdy wszystko pan odkręci... — Markiz nie przerwał tym razem. — Stadnina wytrzyma obciążenie wydatkiem na patent i ubytek kilku koni, ale to pan poniesie koszty weksla. Za to, że chciał jej pan zaszkodzić!

— Nie masz dowodów!

— Ależ mam...! — zapewnił zimno James. — Na piśmie, z odpowiednim podpisem... Rzecz jasna, cała

8

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.